

## Legenda o diabelskim młynie na Równicy

Roku Pańskiego 1891, w Księstwie Cieszyńskim, w małym miasteczku Karwinie, nieopodal Frysztatu, urodził się piewca piękna Śląska i Ziemi Cieszyńskiej, wieszcz znakomity-Gustaw Augustyn Morcinek. Od młodości wędrował po miasteczkach, wsiach i beskidzkich groniach. Z gospodarzami opowiadał, gospodyń wypytał, przy ognisku z juhasami posiedział, na targu kupców przepytał. Na cieszyńskim rynku ciekawych rozmów wysłuchał, w karczmie przy piwie furmanów podsłuchał. Wszystko to w zeszycie skrzętnie notował i po wielu latach w książce opowieści i legendy, przepięknie opisał. Ludzie chętnie tę książkę pod swoje strzechy zabierali i przy świecach swoim pociechom czytali.

I mnie babcia tę książkę czytała, a czasami siedząc przy nagrzanym kaflowym piecu, wieczorami sama legendy opowiadała. Jedną jej opowieść szczególnie pamiętam, dziwną i tajemną, troszkę straszną a zarazem piękną.

A że była z Równicą i tym miejscem związana, to ją teraz chętnie opowiem,

A było to tak:

Działo się to dawno, dawno temu, a może dawniej jeszcze. Najstarsi ludzie nie pamiętają, czy było to za Piastów, czy za Habsburgów może, w czasach gdy ludzie świecili szczapami, mieszkali w kurnych chatach, a diabły

wszelakie siedziały w przydrożnych wierzbach, kusity przechodniów i podróżnych do nikczemności i grzechu.

Żył w Księstwie Cieszyńskim, w beskidzkich górach stary góral, baca nad bacami - Jónek Strządąta. Miał on tyle owiec, że tylko on umiał je policzyć, pasał je ze swoimi juhasami, od wczesnej wiosny aż do późnej jesieni, na beskidzkich groniczkach. A Góra nad wsią Ustroń była jego Górą. I rzecz dziwna, że Górę tę upodobał sobie diabeł Rokitka. Postanowił na niej wybudować Diabelski Młyn, w którym chciałby mleć ludzkie grzechy na czarną mąkę, by ją potem rozsiewać po całym szerokim świecie.

Wiadomo bowiem, co stwierdzili najwięksi uczeni i mężowie, których mądrość i wiedza była pełna i głęboka, że gdy pyłek takowej czarnej mąki wpadnie w ludzkie oko, staje się ono tak bardzo złe, że cały świat widzi na czarno. Każdy napotkany człowiek wydaje się największym wrogiem, najpiękniejszy kwiat przemienia się w najpodlejszy chwast, a każde dobre słowo - w największe przekleństwo.

I tak pewnego razu, w ciepły lipcowy dzionek, gdy owieczki pasły się przykładnie na łąkach, juhasi krzatali się po gospodarstwie, a Jónek siedział na ławeczce pod swoją kolibą, wygrzewał się w słońcu i pykał ze swojej fajeczki, ni stąd, ni zowąd na ścieżce, która prowadziła z Ustronia na Górę, pojawił się jakowyś dziwny człowiek. Ubrany jak myśliwy, buty z wysokimi cholewami, czerwony surdut, w zielonym kapelusiku z gęsim piórem, z ogromną flintą przewieszoną przez ramię. Poczuty jegomością psy pilnujące owiec i rzuciły się z ujadaniem na przybysza. Zaledwie jednak gdy tylko dobiegły do jego nóg, zaskowyczały niemiłosiernie i z podwiniętymi pod siebie ogonami pognały na złamanie karku do lasu.

Co się dzieje! Ki czort! - zdziwił się baca Strządała. - Po raz pierwszy się zdarzyło, by jego psy tak czmychały przed człowiekiem. A może to nie człowiek? - mruknął zaciekawiony i pyknął dwa razy ze swojej fajeczki, podrapał się małym palcem po nosie, wskazującym za lewym uchem, a serdecznym po czubku głowy. Wstał przeto i pilnie przyglądał się niby panu niby nie panu. A że był bardzo mądry i z niejednego już pieca chleb jadł, na czarowaniu się znał i prawie na końcu świata w Jabłónkowie bywał, szybko zmiarkował, że to jakaś nieczysta sprawa. Jegomość utykał na lewą nogę, a gdy był już blisko Jónkowej koliby, baca zauważył, że zamiast lewej stopy ma chyba końskie kopyto w bucie.

- Dzień dobry gospodarzu! - pozdrowił grzecznie przybysz

- A niech będzie dobry! - odpowiedział nieufnie baca. - Co byście radzi, dobry człowieku! Owczego mleka czy sera ? A może owczą skórkę albo wełny?

- Ani mleka, ani sera nie potrzebuję od Was gazdoszku - odparł przymilnie jegomość i uśmiechnął się dziwnie szelmowsko.

- Czy to wasza Góra?

-A czyja miałyby być , jak nie moja?

- A może sprzedalibyście mi jej wierzchołeczek , mały, malusieńki kawałeczek ziemi? Taki nieduży. Sto kroczków wzdłuż... Sto kroczków wszerz....

Strządała pyknął dwa razy w fajeczkę ,podrapał się małym palcem po nosie, wskazującym za lewym uchem, a serdecznym po czubku głowy i odparł

- A czemu by nie, jak tak! Nie ma żadnego pożytku z tego wierzchołka, same skały i kamienie. Sprzedać mogę!

- A ile chcielibyście dukatów?

- Pełny mieszek.... Ale powiedzcie mi, dobry człowieku, na co Wam ten nieużytek?

- Chcę tu kamienny młyn wybudować!

Baca popatrzył na gościa, pyknął dwa razy fajkę, podrapał się małym palcem po nosie, wskazującym za lewym uchem, a serdecznym po czubku głowy i parsknął tak głośnym śmiechem, że aż po dolinach się poniosło. - Chyba jakowyś wiatrak postawicie, a nie młyn!!!- odparł chichocząc

- Nie wiatrak tylko młyn wodny.

- A skąd weźmiecie wodę na młyńskie koło? Tutaj na wierzchołku Góry?!

- Widzicie baco w dolinie Ustroń i rzekę Wisłę, która sennie się tam wije? Ja tę Wisłę przez szczyt Góry skieruję!!!

- A co byście w tym młynie mleli?

- A to już moja sprawa. Nic Was to nie powinno obchodzić. Sprzedajecie? Tak, czy nie?

- No dobrze, dobrze. A jak długo ten młyn budować będziecie?

- Przez trzy noce, gdy będzie pełnia księżyca!

Stary baca znów pyknął fajeczkę, podrapał się małym palcem po nosie, wskazującym za lewym uchem, a serdecznym po czubku głowy..... Przez trzy noce powiadacie! To Wy chyba jesteście ten diabeł Rokitka, prawa ręka Lucyfera?

- Kto jestem, to jestem. I to też nie powinno Was obchodzić! Więc gadajcie, czy się zgadzacie?
- Nie robię sobie z gęby cholewy, Panie Rokitko! Już rzekłem, że sprzedam za mieszek dukatów.
- Jutro będziecie je w kolibie mieli. A teraz podpiszcie mi ten dokument! - rzekł Rokitka i podsunął gospodarzowi pergamin.
- A co to jest? Co tam jest napisane?
- Że mi za worek dukatów szczyt Góry sprzedajecie.
- A o mojej duszy nie jest tu nic napisane?
- Ani słowa miły gospodarzu!
- A gdzie mości Rokitko diabelski podstęp i szwindelek jest ukryty?
- Nie ma żadnego szwindelku, drogi gospodarzu! Przekonajcie się sami. Przeczytajcie!

Baca spojrział na pergamin i rzekł:

- Sam Lucyfer by tych gryzmołów nie rozczytał! Naskrobane, jakby to pisał kogut pazurami na śmietniku....

Rokitka tylko się wzdrygnął, gdy o kogucie usłyszał i wokoło się rozglądnął- nie wspominajcie mi KOGUTA!!! Tylko szybko podpisujcie mości Strządało!!!

- Powoli, powoli mości Kuternego....Nie ma głupich! Najpierw mieszek dukatów, a potem podpis.

Diabeł ze złości szpetnie siarką zasmrodził, podskoczył, tupnął kopytem i już mieszek dukatów u stóp bacy stoi.

Stary Strządąta rozwiązał go, obejrzał, a że każdy dukat był z czystego srebra, a że było ich zaś tyle, że musiałby je liczyć do samego wieczora, przeto podpisał cyrograf gęsim piórem. Rokitka ukłuł go najpierw owym piórem w serdeczny palec lewej ręki i tą kroplą krwi Strządąta napisał pod umową: Jónek Strządąta z Góry. Diabeł Rokitka aż podskoczył z radości, kontent wielce z tak udanego interesu i zawołał:

- Do widzenia, stary durniu, do pierwszej sierpniowej pełni księżyca! - i pognął w dolinę. A gdy biegł, chichotał uradowany, szpetnie smrodził siarką, gdyż był przekonany, że głupiego górala wywiódł w pole.

Baca Strządąta zaś głupi nie był. Ponieważ prawie wszystkie rozumy pozjadał, przeto przed kolibą usiadł, fajkę przypalił, podrapał się małym palcem po nosie, wskazującym za lewym uchem, a serdecznym po czubku głowy i jął medytować, kto kogo wykiwał i na dudka wystrychnął, on- diabła Rokitkę czy Rokitka jego. Szybko też diabelskie przejrzał zamiary. Dukaty są! To dobra rzecz. Można będzie pola i owiec dokupić, no i biednych ludzi w potrzebie wspomóc. Ale diabelski Młyn na Górze nad Ustroniem będzie. A ten łajdak Rokitka będzie w nim mełł ludzkie grzechy na czarną mąkę. Nawet rzeka Wisła popłynie w górę, żeby toczyć młyńskie koło, diabelska to moc! A potem Rokitka na pewno będzie ową mąkę rozsiewać po całutkim świecie. A wtedy ludzie z takim drobniuchnym pyłkiem czarnej mąki w oku będą złośliwi, skorzy do bijatyki, do łajdactw wszelakich, ba, nawet do zabójstwa. O niech to gęś zadnią nogą kopnie! Trza mi iść po rozum do głowy! Poszedł więc po rozum do głowy, lecz droga nie była daleka, jako że Strządąta był największym mądralą w Beskidach. Podrapał się małym palcem po nosie, wskazującym za lewym uchem, a serdecznym po czubku głowy i

pomyślał: „Już wiem!”. Udał się do koliby na spoczynek i szybko zasnął.

Nazajutrz, skoro brzask, Strządała swoim juhasom wszelkie polecenia wydał, pół mieszka dukatów ze sobą zabrał i na trzy dni do swojego starego kamrata Bogusza Sykory przez Skoczów, Kończyce do Frysztatu się udał, by z nim jakowyś plan przeciwko Rokitce uradzić.

Jónek Strządała prawie wszystkie rozумы pozjadał, no i prawie na końcu świata czyli w Jabłónkowie był, ale Bogusz Sykora pozjadał wszystkie rozумы, na czarowaniu i czarach się znał, zaklęcia umiał stosować, każdemu dobre rady dawał, wiedział nawet ile jest dziewięć razy siedem i siedem razy dziewięć. Jako jedyny, na końcu świata w niejakiem Wiedniu był, gdzie rzeka Dunaj podobno płynie, szeroka taka że nabój z flinty na drugą stronę nie przeleci. W Wiedniu tym, podobno Cesorz w ogromnym zamku mieszka i wszelakiego dobra tyle ma, że ministrów jakowyś ma, co mu te dobra codziennie zliczają,

Strządała Bogusza jeszcze z młodych lat znał, gdy razem w Cieszynie na zamku Księcia Pana razem nauki pobierali, bo Strządałowie i Sykorowie bogaci byli, a ich ojcowie usługi Księciu Panu robili. Strządałowie mięsa, mleko, sery, wełnę i skóry na dwór dostarczali, a stary Sykora medale, łańcuchy, pierścienie, bransolety i wszelakie świecidełka Księżnej i Księciu ze złota i srebra wytwarzał. Młodzieńcze lata szybko minęły. Jónek po ojcu owieczki odziedziczył i po beskidzkich groniach wędrował, a Bogusz na koniec świata do Wiednia powędrował, gdzie złotniczego fachu się uczył i Cesorzowi wiele lat wiernie służył. W końcu jednak do Księstwa powrócił, w Frysztacie osiadł i teraz Księciu Panu Cieszyńskiemu jako nadworny złotnik służył.

Bogusz Sykora wielce się ucieszył, gdy starego kamrata na progu zobaczył. Stare czasy powspominali, gorzałki i mioduli też sporo wypili, w końcu przy kominku usiedli z garnuszkami ciepłego grzańca z wonnymi ziołami i nad jakową strategią, by Rokitkę, przechytrzyć radzić zaczęli. A że gorzałka, miodula i wonny grzaniec umysły rozjaśniły, w trzy pacierze doskonały plan wymyślili i od samego rana, bo teraz za bardzo w głowach szumiało, realizować postanowili.

Wczesnym rankiem, ledwie co kogut zapał, w warsztacie Sykory praca aż paliła się im w rękach. Srebrne dukaty w piecu przetapiali, a ze srebra tego, Bogusz Sykora przepiękne medaliki ze świętym Pofnucym wytopił. A święty Pofnucy to był taki święty, który prał diabłów, czym popadło. Kropidłem, warzechą, laga, miotłą, ba, nawet pięścią i dlatego wszystkie diabły miały przed nim wielki respekt. Po trzech dniach Jónek na swoje posiadłości wrócił i tylko niedzieli wyczekiwał, by dalsze aspekty planu, który z Boguszem wymyślili, w życie wprowadzić. W niedzielę odświętnie się ubrał i do doliny, do Ustronia na mszę się udał. Ksiądz proboszcz Erwin Żyła medaliki ze świętym Pofnucym przy ołtarzu poświęcił i razem ze Strządałą, po mszy gospodarzom rozdawał i nakazał by nad drzwiami wejściowymi w swoich chałupach je powiesili. W ten sposób oni, ich rodziny, bydło całe i gospodarstwa chronione przed diablami zakusami będą. A gdy już pełnia nastanie, to by nikt z domu po nocy aż do świtu nie wychodził. Bo jak ksiądz proboszcz wyliczył, już za trzy dni, pierwsza noc w pełni się zacznie i nie wiadomo, co dzieć się może i co będzie gdy Rokitka na Górę powróci. A że w Ustroniu jedyny kościół był w okolicy, to i narodu na mszę dużo przybywało. Z Lipowca, Hermanic, Dobki i Jaszowca, Nierodzimia nawet, z Górek, Brennej i odległej Cisownicy, ludziska odświętnie



ubrani w Ustroniu na Mszy Świętej się stawiali, strządałowe święte medaliki z mieszka w mig zniknęły. Ludzie Strządale wielce dobrorzeczyli za to, że ich przed tymi trudnymi trzema nocami ochrania. On zaś wielce ukontentowany że pomóc i chronić maluśkich może- na Górę do swojej koliby powrócił. W środę do Cieszyna, na Kurzy Targ się udał i najpiękniejszego, jednorocznego koguta za dwa dukaty kupił. Tak krok po kroku plan przechytrzenia Rokitki w życie wprowadzał. Z juhasami sto kroków wzdłuż i sto kroków wszerz na szczycie Góry wyznaczył i kamiennymi kopczykami zaznaczył, by z cyrografowego zobowiązania się wywiązać. Wieczorem juhasom nakazał owieczki i wszelką zwierzynę pozamykać, stodoły i całe obejście dobrze zabezpieczyć, i do doliny, do rodzin ich posłał, by im jakowaś krzywda się nie stała, gdy po zmroku Rokitka na Górę przybędzie. Koguta zaś, w kolibie zamknął i przed kolibą na ławeczce usiadł, zadumał się i na Rokitkę czekał.

A wieczór był jakiś inny niż poprzednie, niby ciepło a od dolin chłodem zaciągało, niby bez wiatru- a liście na drzewach i trawy dygotały, niebo bez chmur a jednak grzmiało i błyskało. Żadnej sarny, jelenia, dzika, nawet zajaca na polanie nie zobaczysz, no i żadnego śpiewu ptaków znikąd słyszeć się nie dało. Niedługo czekał, bo ledwie gwiazdy wysypały się na niebie i księżyc w pełni, jak ogromny bochen chleba, zaczął wychodzić zza Skrzycznego, przyleciał Rokitka już nie jak myśliwy, lecz jak prawdziwy diabeł, z rogami na głowie, kudłaty i kosmaty cały, prawa łapa ogromna, jak u wilka z pazurami, lewa z końskim kopytem, a z tyłu krowi ogon. Przyfrunął na ogromnych nietoperzowych skrzydłach, które wyrastały mu pomiędzy tułowiem i rękami, czerwonymi wielkimi oczami to na szczyt Góry, to na Strządałę szpetnie ziopał.

Baca Rokitkę przywitał i wyznaczony kawateczek ziemi na wierzchołeczku Góry pokazał. Wtenczas diabeł cyrograf rozwinął i bacy fragment przeczytał. Kupiłem od Ciebie durny chłopie, za mieszek dukatów, kawał ziemi sto kroków wzdłuż sto kroków wszerz mierzony, ale nie pisze tutaj, że to Ty, będziesz mi działkę wymierzał. Sam, swoimi diablami krokami, działkę wyznaczę! A więc tutaj- diabelski podstęp i szwindel był ukryty!!! Rokitka po swoim działkę wyznaczył, tak że nie tylko wierzchołek Góry, ale lasy i polany pod szczytem jego własnością się stały. Baca warunki umowy przyjąć musiał, do koliby na spoczynek się udał, a Rokitka jął uwijać się przy budowie kamiennego młyna. Raz-dwa w pół nocy, szczyt Góry pazurami rozkopał i rozdrapał, kopytem wielkie głazy roztrzaskał i na stosy poukładał, fundamenty wykopał, kamienie układał i lepiał, dwoił się i troił, siarką sapał, smołą pocił, ale nad ranem, nim słoneczko wstało, fundament młyna sto kroków wzdłuż, sto kroków wszerz był gotów. Wielce zmęczony w stodole się położył, tylko łapy poranione przy pracy, w strumieniu zamoczył i jak niedźwiedź zasnął.

Rano, gdy baca ze swojej koliby wyszedł, ze zdziwienia aż oczy przetarł. Nie ma już szczytu Góry tylko olbrzymia równica dokoła pozostała. Pooglądał diabelskie dziwy wielkie, fundamenty przeogromne i do swoich codziennych prac wrócił. W dolinie, wczesnym rankiem, gdy ludzie ze swoich domostw wyszli i na Górę spoglądali, oczy ze zdumienia przecierali i krzyżem się żegnali. Nie ma szczytu ni wierzchołka Góry, równica tylko w tym miejscu pozostała. Od tego czasu Górę - Równicą nazwali. Wieczorem baca do koliby się udał, a Rokitka to swojej pracy wrócił. Kamienie układał i ogromne mury wznosił, wznosił coraz wyżej i wyżej i w ciągu trzy i pół pacierza młyn stał gotowy. Do rana

Wisłę pod górę zawrócił i przez polanę na Równicy wyprowadził. Jeszcze jedna noc, jeszcze jedna praca i młyn zacznie mleć ludzkie grzechy na czarną mąkę. Wielce zmęczony w stodole się położył, tylko łapy poranione przy pracy, w strumieniu zamoczył i jak niedźwiedź zasnął.

Nadeszła trzecia sierpniowa noc. A noc była widna, pełnia księżycy zamieniła ją w białą noc. Jónek Strządała nie udał się na spoczynek, tylko przed kolibą na ławeczce usiadł, fajkę zapalił i Rokitkę przy pracy obserwował. Diabeł zadowolony ze swojego dzieła zaczął szukać głazu, który nadawałby się na młyńskie koło. Lecz na Równicy go nie było, wszystkie głazy i skały na młyn użyte zostały. Na Baranią Górę, Stożek, Jaworowy poleciał ale odpowiedniego głazu nie znalazł. W Czantorii wielką pieczarę wykopał, w której to pieczarze, wiele wieków później, jak starzy ludzie powiadają, inny diabeł Złyduch, cały regiment rycerzy króla Jana, gdy na odsiecz Wiednia podążał, w złotych zbrojach, z końmi, wozami pełnymi złota i kosztowności uwięził- ale to już inna legenda. W Czantorii, też kamienia nie znalazł, więc na największą górę w Księstwie- Godulę, poleciał. Całą Godulę z lasów wykarczował, od tego czasu Godula jako Łysa Góra jest znana, no i odpowiedni kamień, który na młyńskie koło przeznaczył, wyszukał. Na grzbiet go sobie zarzucił i na Równicę pofrunął. Baca Strządała przed kolibą siedział i fajkę pykał, podrapał się małym palcem po nosie, wskazującym za lewym uchem, a serdecznym po czubku głowy, niebo obserwował i Rokitki wypatrywał, kiedy ten z Goduli wracać będzie.

O, leci! Przeogromne diablisko, lecz młyński kamień na jego grzbiecie jeszcze większy. Rokitka frunie ciężko, bo nietoperzowe skrzydłiska nie mogą unieść tak wielkiego ciężaru. Leci, przechera, leci, już minął dolinę Olzy, przelatuje już nad

Stożkiem, Strządała wbiegł do koliby, koguta pochwycił i na dach podrzucił. Kogut załopotał skrzydłami, rozglądnął się, oczy szeroko otworzył i ujrzał lecącego diabła. Wspiął się przeto na nogach, skrzydłami zatrzepotał, szyję wyciągnął i po trzykroć z całego gardła zawołał.

- Kukuryku! Kukuryku! Kukuryku!

Diabeł ,gdy koguta wołanie usłyszał, przerażony prasnął młyńskim kamieniem i do Lucyfera, do piekła uciekł. Kamień spadł na szczyt Kiczory i rozłupnął się na kilka kęsów. I do dziś dnia, idąc ze Stożka na Kubalonkę, można go widzieć jako srogie pokruszone skaliska. A diabelski młyn na Równicy rozpadł się wtedy, rozsypał na kawałki i pozostało tylko kamienne rumowisko. Rzeka Wisła do swojego koryta wróciła, wszelka dzika zwierzyna na polany wróciła i ptaszki wszelacy przepięknie śpiewać zaczęli.

Tak to mądry baca Jónek Strządała diabła Rokitkę przechytrył i na dudka wystrychnął.

Choć ponoć, jak starzy ludzie powiadają, Rokitka na Równicę w pełni księżyca powraca. Wcześniej mgły gęste na doliny i szczyt opuszcza. Harcuje wtedy po kamiennym rumowisku, polanach i lasach. Ludzi oszukuje, mami i na manowce prowadzi. Z drogi - w las lub do strumienia poprowadzi. Jednym snopki z pola zabierze, a na drugie pole pokładzie. Z zagród bydło wypuści, to w komin dmuchnie i ogień zagasi. Czasem rogiem człowieka z bok zabodzie, aż w krzyżach zabol, innym razem kopytem kopnie, aż noga w kostce i w kolanie spuchnie. To na plecy usiadzie, że się człowiek cały spoci. Tudzież ogonem tak machnie że jegomościowi gębę całkiem pokrzywi. Ale na Rokitkowe czary, psoty i harce-lekarstwo istnieje.

Nieopodal szczytu, wśród starych wiekowych buków, stara koliba z kogutem na dachu stoi. W niej ciągle ogień w palenisku się pali. Do koliby zawitać trzeba, przy ognisku obolałe miejsca ogrzać, mioduli, grzańca z wonnymi ziołami się napić, Rokitkę po krogulczym nosie pogłaskać i cała boleść od razu mija.

Może to i Rokitki sprawka i sztuczki?! Miarkuję raczej że to, gościnność gospodyni, te jadła smakowite, mocne miody i grzańce wyśmienite, serwowane w Kolibie sprawiły, bom pasa popuścić już musiał, no i z czachy troszkę dymi.... Że chyba wszystko poplątałem. Jedną legendę z innym opowiadaniem pomyliłem. Tutaj coś dodałem, tam coś zapomniałem, a w innym miejscu wszystko przeinaczyłem. Ale zanim kolibę opuszczę, w największej tajemnicy ,bo Wasze dzieci słuchać mogą, na ucho Wam powiem, że kiedyś Rokitka do Koliby cichaczem się zakradł, gospodarzowi wszystkie zioła porozrzucił i pomieszał, a następnie przez komin, do piekła czmychnął. Z owych ziół pomieszanych, z grzańca takowego- Czarciego Napój Miłosny powstał.

Jam go wiele razy z wielką ochotą smakował, a co było potem..... „Do widzenia wszystkim.....” Tego już nie opowiem.

Prawa autorskie: Koliba pod Czarcim Kopytem

*Dla Karyny*

*Bogusław Sikora*

*Cieszyn 30 września*

*Anno Domini 2017*